

Ech, Mazury, jakie cudne

Czyli jak zostałam żeglarzem



Aleksandra Połowska

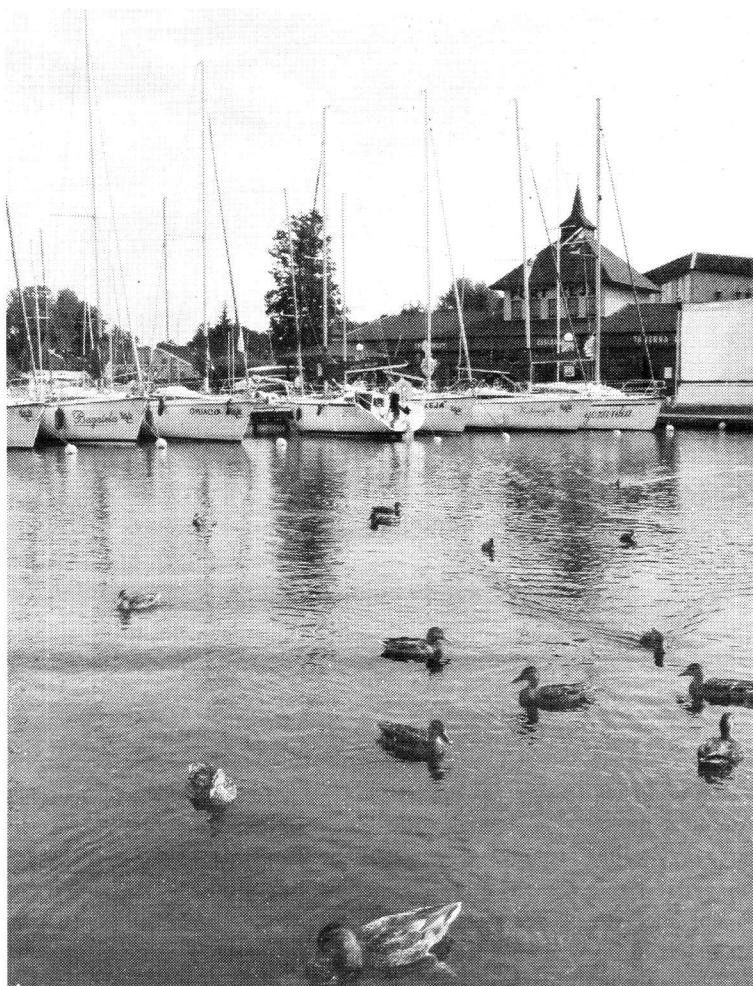
Zgodnie z umową stawiałam się w piątek, 27 sierpnia, w porcie Międzyszkolnej Bazy Sportów Wodnych w Giżycku. Znalazłam Adama i Sowę – Pawła Sowińskiego – mojego boga i ojca na najbliższe dwa tygodnie. Reszta załogi zdążyła już się zadomowić na jachcie i właśnie się opalała na kei. Popołudnie spędziłyśmy na przygotowaniach.

Następnego dnia ustaliliśmy stały rytm dni. Pobudkę inicjował Sowa, na moje szczęście dopiero po 9. Potem prysznic, śniadanko i w drogę. Z Giżycka ruszyliśmy na północ. Dzień był piękny, słońce cudownie grzało, wiało porządne 3° B. Bajka! Płynęliśmy cały dzień, więc dopiero wieczorem, po zamowieniu w T.I.G.A. Marina, zjedliśmy obiad. O Sztynorcie mówi się, że jest drogi. Może i tak, ale to chyba jedyny port jachtowy na Mazurach tak dobrze dostosowany do potrzeb wodniaków. Płacisz raz i masz do dyspozycji prysznic, pod którymi możesz się pławić choćby i godzinę, umywalki, toalety. Po nocy na wilgotnym materacu i w wilgotnym śpiworze – a żeby nie wiem jak był suchy, zawsze mi się taki wydaje – nie ma nic lepszego niż gorący prysznic. Rano ruszyliśmy w kierunku Węgorzewa. Dzień był typowo żeglarski, więc bardzo sympatycznie nam się płynęło. W porcie trafiliśmy na „kino pod chmurką”, czyli filmy z projektora rzucane na rozwieszone prześcieradła, wieczór się jednak skrócił, bo zaczęło padać. Na chwilę wpadliśmy do tawerny, a potem biegiem do śpiwora. Następnego

dnia ruszyliśmy z powrotem przez Mamry, Kirsajty, Dargin, Kisajno... Im bliżej byliśmy Giżycka, tym gorsza robiła się pogoda. Na Darginie tak przywiał, że nasz „Mamert” prawie się położył na fali, a my zamarliśmy z wrażenia. Błdzi jak grot posłusznie dobiliśmy do brzegu w okolicach Królewskiego Rogu, aby przeczekać te porywy. Jak się okazało, nie ruszyliśmy się stamtąd do rana.

służby przy szotach i sterze nie ruszałam się ze śpiwora! „Beznadziejna” – powtarzałam sobie, raz po raz wyglądając przez świetlik i na nowo zagłębiając się w teorii żeglowania. Nawet obiadu nie chciało nam się robić i poszliśmy do knajpy, tak miło suchej i ciepłej.

Następnego dnia przywiał nas piękne wrześnie słońce. Nareszcie! Rozłożyłam się w kostiumie na deku i rozkoszowałam



Przed dziobem Węgorzewo

Burłaczymy na kanałach

We wtorek wieczorem, 31 sierpnia, byliśmy z powrotem w Giżycku. Zmoknięci i przemarznięci do kości. Większość załogi jeszcze bardziej ode mnie, bo ja po odbębnienu

tą cudowną odmianą. W świetnych humorach przeplłynęliśmy Niegocin, Boczne, Jagodne i Szymonek. A tu niespodzianka! W ramach gromadzenia żeglarskich doświadczeń Sowa kazał nam burłaczyć. Cztery kilometry kanałów! Dobrze, że przynajmniej pogoda była ładna, to się opaliliśmy.

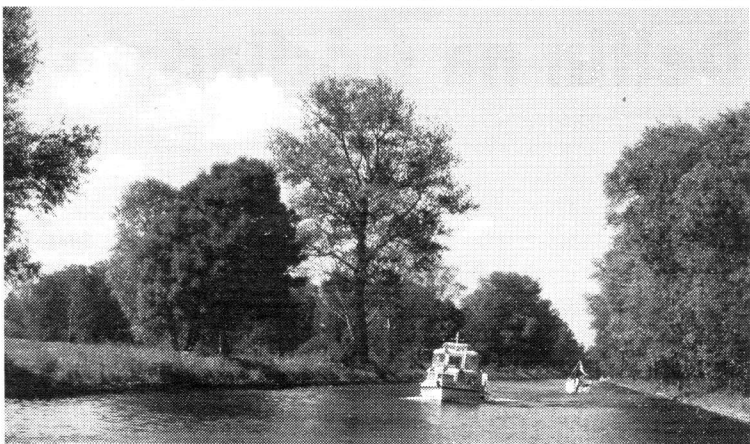
Najdalej na południe zapuściliśmy się na Bełdany. Niżej się nie



Wpadnę do wody czy nie? Śluza w dawnej kwaterze niemieckiej gen. Lammersa, Mamerki, kilka kilometrów na zachód od jeziora Mamry

dało, bo jak się okazało jeszcze w Giżycku, śluza w Guziance była nieczynna. Szkoda! Odpadło nam Ruciane-Nida i Nidzkie.

Kolejne dni mijały nam coraz szybciej. Zdążyliśmy się już poznać, dotrzeć, a sternik nie szczędził trudu i cierpliwości, by włożyć nam do głów wszystko, co porządny żeglarz wiedzieć powinien. Taklowanie żagli, czyszczenie pokładu czy mycie naczyń należało do wspólnych zajęć. Ja aniołem nie jestem, ale lenistwo dwóch chłopców, którzy zabierali się do sprzątania pokładu dopiero wtedy, gdy im się wiadro włożyło do koi, doprowadzało żeńską część załogi do szału. Zbrodni-



Wypływamy kanałem z Węgorzewa na Mamry

cze myśli studziła chłodna pogoda, starania Sowy o zapewnienie nam zajęć od rana do nocy i nieprzewidziane wypadki. Takie jak ten na Jeziorze Mikołajskim, gdy po całym dniu bujania się na rozhuśtanych, „czwórkowych” Śniardwach wracaliśmy na Tałty. Wiatr ucichł, a my chcąc szybko precyzyjnie się wśród innych łódek, zapuściliśmy silnik. Warknął, kichnął... i zamilkł. Wtedy chłopcy nareszcie się wykazali. Rozkręcili filtr i przez kilka godzin niemal kąpali go w benzynie, usuwając olej. Ostatecznie nie ustaliliśmy, kto dołał złej mieszanki do naszego czterokonnego, dwusuwowego Suzuki, ale wyszedł z tego dość mocno pokiereszowany...

Stoję na mieliźnie

Rano wiatru nie było już prawie wcale, więc wlokąc się na północ, ćwiczyliśmy węzły. Ratowniczy, wyblinka, knagowy... W przeciwieństwie do locji te nie sprawiały mi problemu. Większości z nich nauczyłam się w dzieciństwie, płynąc z rodzicami po Mazurach.

Ostatnie dni spędziliśmy na Niegocinie. Ćwiczyliśmy podejście do człowieka, boi i wszystkie inne

bagsztagu i zepchnął z mielizny. Na szczęście nikt nie musiał wchodzić do wody!

Dzień przed egzaminem od rana wiała silna „piątka”, ale dopiero to, co się zaczęło dziać po południu, przerosło moje wyobrażenia. Takie szkwały, że nok bomu mącał się w wodzie, burtą wlewała się woda, a cała załoga balastowała wywieszona na nawietrznej! W końcu spłynęliśmy gdzieś w krzaki, żeby się zarefować i przeczekać, ale jakoś do portu trzeba było wrócić. Deszcz zacinął, a woda wlewała się przez kołnierz. Błada usiadłam za sterem. „Przygotowanie do zwrotu przez sztag!”. „Jest, przygotowanie do zwrotu przez sztag!”. Sowa, przekrzykując wycie wiatru, powtarzał załozce moje komendy. „Prawy fok szot luz!”. „Jest, prawy fok szot luz!”. Nie czułam rąk od trzymania talii, przeklinałam w duchu taką pogodę! Ale udało się! Dotarliśmy do portu! Dopiero tam WOPR-owcy nas oświecili – szkwały dochodziły do 8° B!

Na szczęście w dniu egzaminu wiatr trochę odpuścił. Wiała „czwórka” i pokazało się słońce. Prawdziwie żeglarska pogoda! Skoncentrowana i, co tu kryć, zestresowana wyszłam z portu na sil-



Zachód słońca w porcie Międzyszkolnej Bazy Sportów Wodnych w Giżycku

manewry. Pewnego razu na wysokości Grajewskiej Kępy zmieniłam kolegę za sterem. Nie zdążyłam się jeszcze dobrze rozsiaść, gdy „Mamert” stanął na mieliźnie! Załoga w śmiech, a ja cała czerwona i trochę spanikowana siedzę za sterem jak ta sierota... Tylko jeden Sowa się zlitował i spokojnie wytłumaczył, co robić. Przede wszystkim trzeba było szybko wyciągnąć miecz i wyluzować żagle, żeby wiatr obrócił nas z bejdedwindu do

niku, recytując wszystkie komendy. Kilka zwrotów, kręcenie łódką bez użycia żagli i podejście do stacji benzynowej. Potem podejście do człowieka i mogłam oddać ster Przemkowi. Uff... Zdałam! I to na piątkę! Ale byłam szczęśliwa! Uwaga Mazury – przybył wam nowy żeglarz jachtowy!

Zdjęcia: Anna Łużecka